

## Kłamstwo polityczne \*

Ks. JÓZEF TISCHNER

Co może począć pisarz zamknięty w środku miasta opanowanego przez epidemię dżumy? Zrobi dobrze, jeśli napisze książkę o tym, co dzieje się w mieście. Jego książka nie skróci wprawdzie czasu nieszczęścia, ale będzie jakimś pouczeniem dla przyszłych pokoleń.

Co może począć filozof w kraju, w którym życie społeczne zostało opanowane przez kłamstwo polityki? Dobrze zrobi, gdy napisze artykuł o filozofii kłamstwa po-

litycznego. Z poczucia szczególnego obowiązku, stawiam więc pytanie: czym jest kłamstwo polityczne? Najpierw ogólnie: przez kłamstwo polityczne rozumiem kłamstwo, które wynika z potrzeby władzy i służy potrzebom władzy. Przy jego to pomocy władza pragnie potwierdzić siebie, czyli poszerzyć swe panowanie, umocnić się, usprawiedliwić we własnych i cudzych oczach. Władza jest nie tylko źródłem tego kłamstwa, ale i jego rozgrzeszeniem, najczęściej również jest jego bezpośrednim lub pośrednim tematem. Nie wyklucza to oczywiście udziału poddanych w kłamstwie. W przypadkach kłamstwa politycznego najbardziej zastanawiające nie jest bowiem to, że ten i ów polityk je formułuje i do wierzenia podaje, ale to, że ono samo wykazuje zdumiewającą żywotność i pleni się jak chwasty, rozsiewane równie dobrze przez władców, jak poddanych. [...]

Każde wprowadzenie kłamstwa w dziedzinę polityki wymaga szczególnie dobitnego usprawiedliwienia, nikt bowiem nie lubi być okłamany, szczególnie tzw. prosty lud, dla którego dobra pracują politycy. Z drugiej jednak strony, „lud” dobrze wie, że w pewnych sytuacjach kłamstwo jest nieuniknione. Stąd kluczowe zadanie polityka: uczynić z prawdomówności zasadę swej mowy i zarazem dopuścić wyjątki od zasady. Wyjątki te należy jednak usprawiedliwić. Usprawiedliwienie wyjątków musi dokonać się w sposób zrozumiały dla „prostego ludu”; musi więc być rozwinięciem tych form usprawiedliwienia kłamstwa, z których sam lud korzysta, gdy okoliczności zmuszą go, by kłamał. Kłamiąc, jak kłamie lud, polityk podkreśla swój związek z ludem. A kiedy kłamie lud? Kłamię wtedy, gdy się boi. Polityk może podobnie. Jego lęk nie powinien jednak być lękiem o samego siebie, lecz lękiem o podwładnych, o lud. Lękając się o lud, polityk kłamię jak lud.

Pierwszym warunkiem usprawiedliwienia kłamstwa politycznego jest wspólnota lęków między politykiem a poddanymi. Nie znaczy to jednak, że polityk ma przy- ▶

litycznego. Przyniesie to z pewnością pożytek przyszłym pokoleniom, nie tylko tym, które zechcą wybrać życie bez kłamstwa, ale i tym, które – być może – zechcą w miejsce kłamstwa mniej doskonałego zaprowadzić kłamstwo bardziej doskonałe.



Fot. Marek Tischner / Archiwum Rodziny Tischnerów

\* **Fragmenty wykładu wygłoszonego przez Ks. Prof. Józefa Tischnera** w Duszpasterstwie Ludzi Pracy w Stalowej Woli w roku 1987, ostatnio odczytanego przez Radosława Krzyżowskiego podczas 18. Dni Tischnerowskich, które odbyły się w dniach 18–21 kwietnia 2018 w Krakowie.

Czytelnicy zainteresowani kompletnym tekstem mogą go znaleźć pod linkiem: [pełna treść wykładu Ks. Prof. J. Tischnera](#).  
Dziękujemy prof. Marianowi Tischnerowi, bratu Ks. Prof. Józefa Tischnera, za udostępnienie nam tego wykładu.  
Dziękujemy red. Jerzemu Illgowi za udostępnienie zdjęcia Ks. Prof. Józefa Tischnera.

Redakcja



Kraków

Partnerem czasopisma jest Miasto Kraków

► mować lęk ludu jako daną z góry, nietykalną rzeczywistość. Wręcz przeciwnie, on sam w jakimś stopniu ma tę rzeczywistość ustanowić. Trzeba dokonać trwałej asocjacji między określonym obrazem świata a określonym lękiem – tak, aby obraz wywoływał lęk, a lęk wywoływał obraz. Pomocą może tu służyć psychologia kojarzeniowa. Umożliwia ona rozbudowę w psychice poddanego rozlicznych łańcuchów kojarzeń, których ośrodkiem będzie stale ten sam lęk podstawowy, przede wszystkim lęk o życie. Wszystkie ogniwa łańcuchów winny ciążyć w stronę tego lęku, wszystkie powinny go wywoływać. To, że ów lęk może się niekiedy okazać irracjonalny i bezpodstawny, nie ma większego znaczenia. Ważna jest siła skojarzeń. W pewnym momencie okazuje się ona tak wielka, że rozsądek traci nad nią wszelkie panowanie.

Trzeba więc podzielić świat na dwa zwalczające się obozy: obóz przyjaciół i nieprzyjaciół. Dwa obozy są źródłem dwóch łańcuchów asocjacji – pozytywnego i negatywnego. Teraz trzeba utrwalać przez częste powtarzanie: żyjemy w bloku przyjaźni, tam, poza granicami kraju, jest obóz nieprzyjaźni. Nawet jeśli żyje tam jakiś przyjaciel, trzeba z nim postępować ostrożnie, bowiem „obiektywnie”, gdyby doszło np. do wojny, stanie przeciwko nam. Tu, u nas, mamy w zasadzie przyjaciół, ale i z nimi trzeba ostrożnie, bo może okazać się sojusznikami wrogów. Ostrożność i podejrzliwość wynikają z „obiektywnych” zagrożeń. Skoro tak, lęk jest samo przez się zrozumiały. Trzeba go mieć, aby żyć. Raz uruchomiony mechanizm lękowych asocjacji doprowadza do sprzężenia zwrotnego: aby usprawiedliwić kłamstwo, trzeba odwołać się do lęku; odwołując się do lęku, wzmagamy lęk i tym sposobem przygotowujemy glebę, na której kłamstwo znów może się bez przeszkód plenić. [...]

Kłamstwo lękiem usprawiedliwione ma jednak ograniczoną moc oddziaływania. Przy jego pomocy można ewentualnie bronić się przed zarzutami, ale nie można zbudować nowego wspaniałego świata. Władza, która sięga po nie, ukazuje swą zależność i jakąś bezsilność. Z pewnością nie przysparza jej ono autorytetu. Trzeba więc pójść dalej i głębiej i dokonać radykalnej rewizji pojęcia prawdy. Przeciwnik atakuje władzę z pozycji prawdy, ale cóż to jest prawda? Człowiek pospolitego rozumu jest przekonany, że prawda polega na zgodności poznania z rzeczywistością, której poznanie dotyczy. Stosownie do tego prawdziwa mowa to mowa, która stara się tę zgodność osiągnąć i wyrazić. Ale rozum polityczny jest bardziej przenikliwy. Czym jest to, czego poznanie dotyczy? Czym jest rzeczywistość? Czy jest to coś stałego i niezmiennego? Tak jest może w matematyce, ale w życiu społecznym nie ma rzeczy stałych i niezmiennych. W zmiennej rzeczywistości społecznej to, co jeszcze nie istnieje, lecz właśnie się staje, posiada większą „siłę istnienia” i jest bardziej „realne” niż to, co jeszcze trwa, ale już jest skazane na śmierć. Stąd nowa propozycja rozumu politycznego: prawdą jest to i tylko to, co przynosi pożądaną skutki. [...]

Najpierw trzeba więc określić bliżej wizję „nowego wspaniałego świata”, ku któremu toczy się historia – wskazać na to, co właściwie się staje. [...]

Polityczne pojęcie prawdy określa styl myślenia politycznego – myślenia, w którym absolutne pierwszeństwo przypada zabiegom klasyfikacyjnym, przed wszelkim merytorycznym wglądem w istotę. Pytaniem wiodącym jest: kto idzie z nami, a kto przeciw nam? Pytając w ten sposób, myślenie polityczne budzi podejrzliwość, dema-

skuje, agituje, a gdy trzeba, to denuncjuje, wciąż klasyfikując wedle uprzednio przygotowanych szuflad [...]. Zabiegi klasyfikacyjne są z jednej strony dalszym ciągiem skojarzeń lękowych wedle zasad pawłowizmu, z drugiej są również ich podniesieniem na wyższy poziom – na poziom antycypacji jutrzejszego świata. Chodzi w nich o jednoczesne popchnięcie i pociągnięcie do czynu, zaś czynem pierwszym i podstawowym winna być deklaracja wiary politycznej w twórczą siłę wyznawanej ideologii. Deklaracja wiary powinna zarażać wiarą innych. Im więcej będzie takich, którzy się zarażą wiarą, tym szybsze nadejście świetlanej przyszłości. Zanim to jednak nastąpi, już teraz dokona się przemiana sposobu myślenia poddanych – oni zaczną myśleć politycznie. Znaczący to: sami zaczną podejrzewać, demaskować, agitować, denuncjować, klasyfikować wedle obowiązujących schematów. I tak w łonie społeczeństwa poddanych może wyłonić się twórczy geniusz kłamstwa, który stanie się nieocenioną podporą kłamliwej władzy. I o to właściwie tu chodzi. Władza chce jedynie wytyczyć kierunek kłamstwa, a resztę ma już dopełnić fantazja poddanych. [...]

Powstaje jednak pytanie: co na to wszystko poddani? Odpowiedź poddanych może być oczywiście rozmaita – jedni zarażą się kłamstwem i dopasowanym do kłamstwa stylem myślenia i uczynią to, co im podsunął polityk; inni zaprzeczą kłamstwu i trwać będą mocno przy wartościach pospolitego rozumu. Ale nie będzie ich wielu, ani pierwszych, ani drugich. Grupę najliczniejszą stanowić będą ci, którzy postawią na odwet i na kłamstwo władzy ku nim zwrócone, odpowiedzą własnym kłamstwem zwróconym ku władzy... Wyjdą oni z założenia, którego nie będzie łatwo wybić im z głowy, że co wolno władzy, wolno i poddanym.

Jeśli więc władza ogłosi, że musi kłamać, bo lęka się o los poddanych, to poddani będą się czuli podobnie przymuszeni do kłamstwa lękiem o to, by niepotrzebnie nie zakłócać dobrego samopoczucia władzy; trzeba współczuć władzy, jak władza współczuje poddanym. Jeśli wedle władzy racją posłuszeństwa poddanych są nagromadzone w ich podświadomości lęki, to podobne lęki powinny tkwić również w podświadomości władzy; dobrze więc jest, gdy od czasu do czasu jedna strona przestraszy drugą stronę. Aby złagodzić ów lęk, trzeba sprawić, by między wysokimi straszącymi się stronami zaistniała instytucja przekupstwa. Nic tak nie łagodzi wzajemnych strachów, jak wiara w możliwość łapówki. [...]

Władza zaproponowała poddanym myślenie polityczne jako klasyfikację przy użyciu podejrzliwości, agitacji, denuncjacji. Poddani chętnie podejmują wezwanie i proponują władzy własną klasyfikację, stosując przy okazji podobny styl myślenia. Z tym, że szuflady klasyfikacyjne są mniej liczne, a kryteria jakby prostsze. Wszystko w końcu sprowadza się do prostych słów: My – Oni.

Kłamstwo raz puszczony w ruch kręci się już samo. Tak rośnie wznoszony wspólnym wysiłkiem gmach. Ale nie to jest najważniejsze. Najważniejsza jest podejrzliwość. Ta panoszy się wszędzie. W pewnym momencie dochodzi do tego, że nikt już nie jest w stanie nikomu wierzyć. Wątpliwe stają się nawet najbardziej oczywiste prawdy.

I właśnie wtedy, dopiero wtedy może dojść do tego, o czym pisał Norwid niedługo po wybuchu krwawego powstania w Polsce: „Czterdzieści już dni, jak biją się w Polsce z Moskałami, a ściślej mówiąc i w Europie z fałszem, który tę straszną walkę przygotował. Kłamstwa długie i starannie pełnione zawsze o dniu naznaczonym strumieniami krwi wytryskują...” [C. K. Norwid, *Listy do Michała Kleczkowskiego*, III 1863]

Szanowny Panie Redaktorze,

Z dużym zainteresowaniem i pewnym zadowoleniem (że nie brak jednak „zdrowego rozsądku” w polskiej Akademii) przeczytałem wypowiedzi prof. Andrzeja Białasa („PAUza Akademicka” 420 i prof. Kacpra Zalewskiego „PAUza Akademicka” 424) w sprawie „profesora dydaktycznego”.

Tak jak niezdecydowanie w stosunku do habilitacji, tak jak słaby poziom doktoratów w Akademii Rzeczypospolitej, tak i pozycja profesora dydaktycznego będzie/jest przyczynkiem do bałaganu i ogólnie słabego poziomu nauki w Polsce.

Tworzenie sztucznych bytów, tytułomania i często fałszywe pojmowanie i wyobrażenie swojej roli są plagą Akademii, zresztą nie tylko polskiej.

To, co się obecnie spotyka na uczelniach polskich, tworzy zamęt w głowach. Mnogość pozycji, tytułów, spo-

sobów tworzenia stanowisk akademickich nie jest adekwatna do spodziewanych rezultatów, wpływających na prestiż nauki polskiej.

Moim zdaniem, pozycje: asystenta, wykładowcy, adiunkta, profesora nadzwyczajnego i profesora zwyczajnego powinny wyczerpywać ofertę pozycji i wyraźnie wskazywać ścieżkę formalnej kariery akademickiej.

Klarowne określenie wymogów i progów, poparte przez uczciwe kryteria oceny, uczyniłoby system bardziej przejrzystym i, być może, zrozumiałym. Oczywiście, w ostatecznym rozrachunku liczyć się będą wyniki tak osiągnąć nauki, jak i dydaktyki. Ale po co w międzyczasie przepuszczać całość przez labirynt bytów komplikujących istnienie?

Łącząc wyrazy szacunku,

JAN NAPOLEON SAYKIEWICZ

Ph.D.; D.Sc.

Professor Emeritus

Honorary Consul of the Republic of Poland

Ostatnio pojawiły się w mediach zarzuty, że diskutowana obecnie w Sejmie ustawa o nauce nie była wystarczająco konsultowana z środowiskami uczelnianymi i naukowymi. W tej sprawie otrzymaliśmy szczegółowe wyjaśnienie od prof. Jarosława Górniaka, byłego przewodniczącego Rady Narodowego Kongresu Nauki (odpowiedzialnej za prowadzenie konsultacji). Prof. Górniak odpiera zarzuty, wskazując, że konsultacje trwały prawie dwa lata i objęły środowiska w całej Polsce. Tekst jest zbyt długi, aby zamieścić go w całości; poniżej podajemy więc link, aby Czytelnicy mogli się z nim zapoznać.

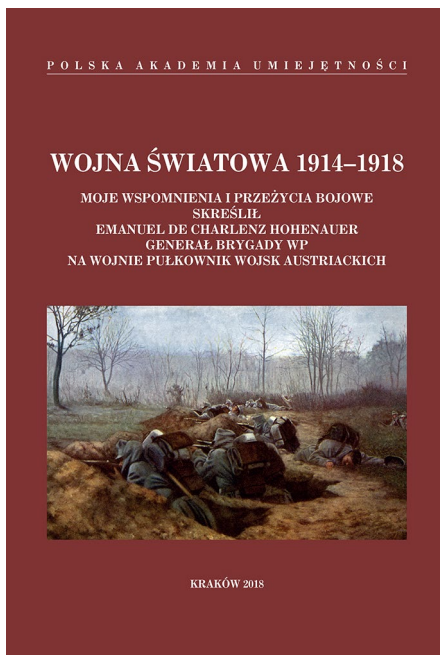
Redakcja.

## O konsultacjach społecznych projektu ustawy o nauce i szkolnictwie wyższym

JAROSŁAW GÓRNIAK

były przewodniczący Rady Narodowego Kongresu Nauki

## Wydawnictwo PAU poleca...



Prace Komisji Historii Wojen i Wojskowości PAU:

### WOJNA ŚWIATOWA 1914-1918

*Moje wspomnienia i przeżycia bojowe*  
skreślił

**Emanuel de Charlenz Hohenauer**

generał brygady WP – na wojnie pułkownik wojsk austriackich

Wstęp i oprac. EWA DANOWSKA

Cena 19,00 zł

Emanuel Hohenauer, Polak urodzony w 1863 r. w Stryju, swoje życie i karierę zawodową związał z armią austro-węgierską. Wielokrotnie odznaczany za zasługi wojenne, po zwycięskiej potyczce z Rosjanami pod Charleżem nad Bystrzycą w 1915 r. otrzymał od dworu wiedeńskiego tytuł szlachecki z przydomkiem „de Charlenz”.

Generał Hohenauer pozostawił swoje wspomnienia z okresu I wojny światowej. Znajdziemy w nich nie tyle usystematyzowaną relację o przebiegu I wojny światowej, co obraz trudnej doli żołnierzy walczących w okopach, niezależnie po której stronie konfliktu i cierpień cywilnej ludności.

Pisząc wspomnienia w latach 30. XX wieku, z perspektywy czasu przekazywał ogólne refleksje na temat prowadzonych walk i sytuacji politycznej, przedstawiał wydarzenia, które szczególnie utkwiły mu w pamięci, subiektywne wrażenia dowódcy, osobiste przeżycia i doświadczenia.

Będąc dowódcą 16. pułku strzelców pieszych na froncie wschodnim, wiele miejsca we wspomnieniach poświęcił opisowi swej działalności, polegającej na zorganizowaniu żołnierzom czasu wolnego od walk, a także wszelkich udogodnień ułatwiających życie i wypoczynek, jak: łaźnie, kasyna, teatry czy obchody świąt religijnych i patriotycznych.

Emanuel Hohenauer podkreślał swój polski patriotyzm, z którego to powodu miewał przykrości, a nawet – jak twierdził – szykany. Koniec wojny spędził jako dowódca w Albanii.

## zaPAU

# Wdzięczność i szacunek

Zbliżają się wybory samorządowe. Obserwujemy mobilizację partii i komitetów wyborczych. Zawijają się koalicje. Przede wszystkim zaś mobilizują się sami kandydaci. Każdy, kto widzi dla siebie jakąś szansę, rusza do boju. Za kilka miesięcy będziemy mieli nowe władze lokalne, a więc właśnie te najważniejsze, bo to od nich najbardziej zależy nasze codzienne życie.

Niedługo ulice pełne będą bilboardów i plakatów reklamujących kandydatów. Podobnie prasa i Internet. Dotychczasowi wybrańcy ludu przedstawią program kontynuacji uzyskanych osiągnięć, rzecz jasna z drobnymi korektami, które poprawią jeszcze dotychczasowe doskonałe funkcjonowanie gminy, powiatu czy miasta. Kandydaci, którzy dotąd byli w opozycji, nie zostawią suchej nitki na obecnych władzach i zaproponują radykalne zmiany (na ogół zresztą zgodne ze sławnym hasłem Giuseppe Lampedusy). Zobaczymy wyraźne ożywienie, hasła będą fruwać w powietrzu, nastroje staną się bojowe, „żołnierze” obu stron przygotowują i oczyszczają broń: z lamusa wyciągnie się stare haki, w Internecie odgrzeje się dawne, zapomniane oskarżenia, w kawiarniach powstaną nowe plotki. Słowem – zrobi się interesująco.

Cyniczna, acz powszechna, opinia traktuje cały ten proces wyborczy jako wyścig do lukratywnych stanowisk, czyli jako usiłowanie „dopchania się do żłobu”. To jednak tylko płytka i ułatwiona diagnoza, z którą trudno mi się zgodzić. Naturalnie, zdarzają się przypadki, gdy kandydat myśli wyłącznie o swoich przyszłych dochodach. Sądzę jednak, że to tylko margines i nie wydaje mi się, aby ostatnie zapowiedzi obniżenia uposażeń władz samorządowych spowodowały odpływ kandydatów. Przysłowiowy „żłób” nie jest aż tak atrakcyjny, jak wydaje się ludziom, którzy są od niego daleko. Liczy się również, i to bardzo, chęć działania i zmieniania rzeczywistości, sportowy dreszczyk związany ze startem w tym wyścigu, a także ambicja zażyłności i zdobycia uznania poza gronem rodziny i znajomych.

Przypomniało mi to humoreskę Marka Twaina, której niestety nie potrafię odszukać, spróbuję więc jej sens odtworzyć z pamięci. Autor opisał wizytę w niewielkim miasteczku na prowincji, gdzie – jako początkujący dziennikarz – wybrał się, aby zrobić reportaż. Chcąc poznać, co ludzie myślą o życiu w tym odizolowanym od świata zakątku, zaszedł najpierw do miejscowego baru. Zagadnąwszy właściciela, jak mu się żyje, usłyszał, że właściwie nie można narzekać, bo interes idzie dobrze,

klienci wydają się zadowoleni, nie ma jakichś większych awantur ani bijatyk. Czyli wszystko byłoby w porządku, gdyby nie burmistrz, który jest kompletnym głupcem i psuje niemal wszystko, czego się dotknie. Ostatnio, na przykład, wybudował most, który jest nikomu niepotrzebny – zamiast wydać miejskie pieniądze na rozbudowę szpitala, który dosłownie pęka w szwach. W dodatku, odkąd został burmistrzem, kompletnie przewróciło mu się w głowie, zadziera nosa, jakby był nie wiadomo kim, a przecież wszyscy wiedzą, że nie ma żadnego wykształcenia, bo jest tylko prostym ogrodnikiem.

Zaintrygowany tą relacją, dziennikarz poszedł z kolei do fryzjera, gdzie podczas strzyżenia zapytał już bezpośrednio o burmistrza. Usłyszał, że to stary oszust, manipuluje przydziałem działek pod budowę, tak że szansę na budowę nowego domu mają tylko jego przyjaciele albo darczyńcy, którzy finansują jego kampanię wyborczą.

Wreszcie wybrał się do lokalnego pastora. Usłyszał, że burmistrz jest obłudnikiem. Chodzi co prawda regularnie na nabożeństwa i udaje bardzo bogobojnego, ale wszyscy wiedzą, że zdradza żonę ze swoją sekretarką.

W tej sytuacji Mark Twain postanowił przeprowadzić wywiad z samym burmistrzem. Został przyjęty nader uprzejmie, burmistrz przedstawił mu sytuację miasteczka, które systematycznie się rozwija, a nawet – można powiedzieć – przeżywa okres prosperity. Nie ukrywał, że uważa się w dużym stopniu za autora tych sukcesów, co potwierdza opinia mieszkańców, wyrażana w systematycznie przeprowadzanych ankietach, a także w licznych dowodach uznania i sympatii, jakie otrzymuje niemal codziennie. Nie ma również zbyt wielu skarg, a te, które się pojawiają, są natychmiast uwzględniane. Przedstawił przyszłe plany, przewidujące dalszy szybki rozwój miasteczka, jeżeli tylko zostanie wybrany i będzie mógł kontynuować dotychczasową politykę.

Wówczas Mark Twain zadał niedyskretne pytanie: ile wynosi wynagrodzenie burmistrza. Burmistrz był oburzony. – Nie pobieram żadnego wynagrodzenia z miejskiej kasy, pracuję wyłącznie społecznie! No dobrze, zapytał Twain, jeżeli nie pobiera Pan wynagrodzenia, to dlaczego podjął się Pan tej niełatwej pracy? Jak to dlaczego, brzmiała odpowiedź. Przecież w ten sposób zdobywam wdzięczność i szacunek moich współobywateli!

ABBA

PAUza Akademicka – [www.pauza.krakow.pl](http://www.pauza.krakow.pl) – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

**Rada Redakcyjna:** Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

**Redakcja:** Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotoskład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

**Adres do korespondencji:** Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: [pauza@pau.krakow.pl](mailto:pauza@pau.krakow.pl)

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.